№ 20. Rok XXXIII.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.
Warszawa, dnia 4 Maja (16 Maja) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

NA WIOSNĘ.

Wszystkie smutki, wszystkie cienie
Uleciały w dal,
Już powiało wiosny tchnienie
Skróś powietrznych fal.

Wychyliły skroń pierwiosnki
Zpod śniegowych szat
I na usta płyną piosnki,
Te z młodości lat.

Gdy cię, dziewczę, zbudzi wiosna
Wonią bzów i róż,
Gdy urocza pieśń miłosna
Zadzwoniła już —

Całem sercem, piersią całą,
Wśród uniesień żyj,
Razem z ziemią zmartwychwstałą
Kochaj, marz i śnij.

Bo tęczowe szczęścia chwile
Trwają parę mgnień,
I ulecą jak motyle
I noc zmieni dzień.

I choć wróci pieśń miłosna
Z wonią bzów i róż,
Życia wiosna, serca wiosna
Nie powróci już...

Or-ot.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Podczas gdy Schwartz z Marczewskim rozmyślali nad pozostawioną kartką, nie szczędząc sobie wzajemnych wymówek i docinków, pan Konrad tymczasem po raz trzeci już przebiegał miasto z końca w koniec, poszukując kolegi Zawadzkiego.

Z tym Zawadzkim łączyła go długoletnia przyjaźń, zawiązana jeszcze w dzieciństwie, na podwórku jednego z warszawskich domów, a zacieśniona później wspólną dolą sierocą i jednakowemi niemal losami pnących się z trudem, o własnych siłach, biedaków. Tylko że u Konrada sił tych było sporo, a choć po śmierci rodziców bieda nieraz mu doskwierała, zawsze jednak umiał sobie poradzić. To sam los, to wreszcie własna jego energia i przedsiębierczość przychodziły mu z pomocą.

Po ukończeniu pierwszego kursu uniwersyteckiego, widząc że musi oglądać się na pomoc stryja, który zresztą, jako emeryt, sam miał niewiele, a jako stetryczały stary kawaler nie umiał świadczyć dobrodziejstw bratankowi bez szemrania i wymówek, zniknął pan Konrad na rok z Warszawy, przyjmując obowiązki nauczyciela w jednym z zamożnych domów obywatelskich na wsi. Po roku wrócił, świecąc w oczy stryjowi „własnemi," uciułanemi z mozołem pieniędzmi, i znów zapisał się na uniwersytet.

Posprzeczali się nawet wówczas na dobre, pan Ignacy bowiem widział w tem dla siebie obrazę.

— Mało ci było tego chleba, jakim się z tobą dzieliłem? — gderał.

— Nie! Alem chciał własnego skosztować.

— A roku straconego nie szkoda? Kiedyż ty dojdziesz do czego, człowieku?

— Mam czas!

Rok trwała odtąd zgoda, zwłaszcza że wciągu tego roku pan Konrad jaknajmniej się stryjowi narzucał, gdy naraz, jak grom, spadła na starca wiadomość, iż bratanek, po dwuletnich studyach prawa, postanowił przerzucić się na medycynę.

Starego omal nie przyprawiło to o apopleksyą.

— Nic już z ciebie nie będzie! — zadecydował.

— Kto wie!

Widywali się odtąd rzadko, a stryj czekał tylko jakiegoś nowego „waryactwa" bratanka.

— On tu znów z czemś wyskoczy, obieżyświat!

Ale przepowiednia już się nie sprawdziła. Konrad znalazł niezłe lekcye na mieście, pisywał podobno nawet po gazetach, utrzymywał się sam,

a studyów pilnował. I oto właśnie przed owym ostatnim wyjazdem przyszedł zawiadomić stryja o złożeniu egzaminów. Pozostawała tylko doktoryzacya. Ot, i losy nie dały starcowi tej chwili doczekać!

Inaczej było z owym Zawadzkim, którego teraz pan Konrad szukał tak wytrwale. Ten uginał się nieraz i łamał nawet pod trudami, jakie los włożył mu na barki. Zdolny, utalentowany, a hardy i pełen jakiejś wrodzonej goryczy, którą obryzgiwał wszystko i wszystkich, nie był nigdy z niczego zadowolony. Należał on, podobnie jak i Konrad, do owych „zapóźnionych" studentów, podobnie jak on, przerzucał się z wydziału na wydział, wyboru jednak jakiegoś dotąd uczynić nie potrafił.

Dręczyło go to samego, a i Konrad nie szczędził mu swoich wymówek za ten brak wytrwałości. Rozchodzili się nawet wskutek tego podwakroć, ale znów niebawem łączyli. Zawadzki bowiem wracał po pewnym czasie z pokorą, postanawiał tak lub owak skończyć, byle się czegoś dobić, a Konrad, uradowany, wierzył weń nanowo. Ale mijał miesiąc po miesiącu, Zawadzki w swoich postanowieniach słabł i wszystko zostawało po dawnemu.

Dziwny to był istotnie człowiek. Ciągnęły go i matematyka, i medycyna i nauki przyrodnicze, a Konrad, mieszkając z nim wspólnie w ostatnim roku, odkrył najniespodziewaniej, że ten długoletni towarzysz pisze pokryjomu wcale niezłe wiersze. Konrad zaniósł parę z nich znajomemu swemu redaktorowi, zaraz je też wydrukowano. Gdy jednak domagał się tych wierszy więcej, Zawadzki odparł z niechęcią:

— Daj mi pokój! Czytam teraz „Historyą filozofii" Langego i nic nie mogę robić...

— Daj coś z dawniejszych, z szuflady... Masz przecie... Widziałem! Przyrzekłem zresztą, że przyniosę więcej!

— Głupstwo — brzmiała odpowiedź. — Żebyś ty wiedział, jaki ten Lange mądry, a jaki ciężki zarazem! Ziewam, a muszę czytać!

Przyjaźń dla Konrada, pomimo że go nie słuchał, objawiała się u Zawadzkiego psiem jakiemś przywiązaniem, którego niepodobna było lekceważyć. Poza tą przyjaźnią miał Zawadzki jedyną tylko namiętność: miłość ku siostrze, sierocie, ośmnastoletniej obecnie panience, którą sam prawie wychował, bo matka, umierając, zostawiła mu ją 10-cioletnią dziewczynką. Ale było to wychowanie, jakie mógł jej dać starszy o lat siedm brat, zajęty lekcyami, za któremi, jako gimnazista, biegał wówczas po całych wieczorach. Szczęście też, że przygarnęła ją jakaś pani z tego domu, w którym wówczas mieszkali, i w krótkim czasie wykształciła na doskonałą szwaczkę i krawcową.

Dziewczę, jak zmiłowania, czekało tej chwili, w której brat studya ukończy i, według obietnic, postawi wspaniały pomnik na grobie matki, a jej zapewni raj, raj prawdziwy.

Ale co warte obietnice jego, kochanego Wiktorka!

To też dziewczę, przed dwoma laty, nic narazie bratu o tem nie mówiąc, przyjęło stałe miejsce w jednym z magazynów mód, miejsce, jakie rzadko istotnie się trafia, z mieszkaniem, jaką taką pensyą i życiem.

Zawadzki, dowiedziawszy się o tem, szalał z rozpaczy, przekonało go to bowiem, że siostra ostatecznie o nim zwątpiła.

Pił przez dni parę, jakby chciał zapić się na śmierć, wreszcie, wzywając Konrada do pomocy, postanowił siostrę napowrót do siebie zabrać.

— Chodź! Ona cię zna, lubi! Ciebie usłucha!

Poszli, ale Konrad, zamiast interwencyi, pochwalił Józi to, co uczyniła, obiecując jednocześnie zabrać się teraz do opieki nad Wiktorem.

— Panno Józefo! — mówił. — Daję pani słowo, że Wiktorowi nie dam zginąć.

Rok znowu minął, ale nawet Konradowi trudno było dotrzymać obietnicy. Ot, tyle dokonał, że Wiktor istotnie nie zginął. Żył, odwiedzając siostrę od czasu do czasu wraz z Konradem, który przy każdorazowych odwiedzinach umiał ich oboje rozweselić i natchnąć nadzieją. W ostatnim roku Wiktor postarał się nawet o patent nauczyciela matematyki, objął tę posadę na paru pensyach prywatnych, pisywał wiersze, drukował je i nie zginął.

Konrad spełnił więc przyrzeczenie swe dosłownie. Niczego więcej nie obiecał.

Wyjeżdżając zaś przed trzema miesiącami, widział się z Józią i prosił jej, aby, o ile możności, nad Wiktorem czuwała i gdyby przyszedł do niej, nie odtrącała go od siebie i nie dziwiła się niczemu.

— Ja? odtrącić jego? Panie Konradzie!

Nie wiedział tego, że Wiktor zachodził tu już czasami bez niego, mówiąc do siostry: „Pożycz-no rubla... oddam ci na pierwszego!..." I ona zawsze tego rubla dłoń miała i zawsze mu go dawała.

Tego pan Konrad nie wiedział.

Ale, rozpamiętywując te dzieje, przypomniał sobie jeszcze słowa, jakiemi wówczas załagodził ten swój niezręczny zwrot i jakiemi uspokoił ją zupełnie.

— Źle się wyraziłem, panno Józefo! — mówił.— Idzie mi o to, aby pani objęła na ten czas nad Wiktorem moję rolę. Łagodnie, cicho, z uczuciem trzeba z nim postępować. Złości się i gniewa, że ja go opuszczam na lato... Ale, widzi pani, ja niemałą korzyść z tej wycieczki odniosę. Bo to... bo to... przywiozę i pieniędzy coś niecoś i stosunki pozawiązuję... A tego mi wkrótce już będzie potrzeba... Potem zaś... potem... niczego nam już razem nie braknie...

— Razem? — powtórzyło dziewczę. — Czy my kiedy będziemy razem?

— Aj! — zawołał pan Konrad — w pani tkwi wrodzony pesymizm! Jak u Wiktora! Wyssaliście go chyba z mlekiem swej matki!

— Ja? Ja robię, co mogę, panie Konradzie.

— Prawda, prawda! — odparł, ściskając jej rękę.

Zauważył przytem, że zakaszlała okrutnie. Przypisał to przeciągowi w magazynie, w którego głównej sali, pustej właśnie przed wieczorem, rozmawiali oboje. Niebawem jednak kaszel znów się powtórzył.

— No, panno Józefo! Cóż znowu! — zawołał.— Pani się widocznie przeziębiła!

— Ach! to jeszcze w Maju! Przeziębiłam się na nabożeństwie majowem, w kościele... i odtąd ciągle kaszlę... Wiktor wie o tem... Ale to nic... Niech tylko pan wróci...

— Wrócę! wrócę najpóźniej w pierwszych dniach Października. I znowu wówczas rączkę pani uścisnę, jak dziś, jak teraz!

— Października? — rzekło dziewczę, blednąc.— To tak daleko... A Wiktor?

— Wiktor wytrzyma! Nic mu nie będzie. Do widzenia, kochana panno Józefo!

I znów schwycił rękę dziewczyny, a uścisk tej ręki czuł dotąd jeszcze, po trzech miesiącach. Nie zdołały mu go zetrzeć z dłoni tysiączne uściski nowych przyjaciół, Marczewskiego i Schwartza; nie zdołały zetrzeć delikatne dotknięcia rąk obu panien Marczewskich, starszej i młodszej, z któremi błądził całemi wieczorami po parku w Teterówce; nic nie zdołało zniweczyć uścisku tej małej, delikatnej a tak już spracowanej dłoni.

— Będę pana czekała, jak zbawienia... dla Wiktora! — te znaczące słowa Józi dźwięczały mu dotąd w uszach.

Przez nie to nie mógł dospać dziś zrana, czuł bowiem, że chociaż przypadkiem, jest przecie już blizko niej i zobaczyć ją może i musi.

Pędził więc pustemi o tak rannej porze ulicami naprzód ku Oboźnej, ale tam powiedziano mu odrazu, że pan Zawadzki, w kilkanaście dni po jego wyjeździe wyprowadził się zupełnie. Ot, mieszkał póty, póki mieszkanie było zapłacone, do Lipca. Gdy gospodarz przysłał po komorne, a potem sam przyszedł raz i drugi, posprzeczali się obaj tak jakoś bardzo, że pan Zawadzki zaraz zawołał: „No, to się dziś wyniosę i basta!"

Tak opowiadał stróż miejscowy, dodając, że tegoż jeszcze dnia, wieczorem, o zmroku, „przeprowadził" pana Zawadzkiego, za trzy złote, ale daleko, aż na Twardą.

— A! łotr! — szepnął pan Konrad do siebie, wysłuchawszy tej relacyi.—Wprowadził się do niej, do siostry!

Zły, gniewny, odwrócił się, pozostawiając zdumionego stróża i ruszył natychmiast ku wskazanej ulicy.

— A! to trzeba nie mieć za grosz ambicyi!—myślał, czując na policzkach gorączkowe wypieki.

Ale wmiarę, jak drogi ubywało, począł mimowoli usprawiedliwiać ten postępek kolegi. Lato, lekcye po pensyach skończyły się, jedyny zasiłek Wiktora przepadł, nic nowego musiało mu się nie trafić, ot, i opuścił znów ręce, spadając na kark biednej dziewczynie.

Przed bramą stanął już przejednany.

Gdy jednak i tam powiedziano mu, że Zawadzki przemieszkał wraz z siostrą około miesiąca, poczem znów przeniósł się gdzieś aż na Piwną, pan Konrad począł tracić cierpliwość.

— Niech go tam! — szepnął.

Było właśnie trzy na dziewiątą. Tamci śpią jeszcze pewnie. Wróci oto do hotelu, zniszczy napisaną kartkę, pobudzi ich, a Zawadzki—niech go tam! Nie może przecie całego dnia stracić na próżnych poszukiwaniach.

Ale ta biedna Józia?

Nie, nie! I jej nie może się teraz pokazać, zwłaszcza teraz, gdy nie wie wcale, co Wiktor tu przez ten czas nabroił.

Przesunął się też śpiesznie popod drzwiami otwartego już magazynu, nie spojrzawszy nawet do wnętrza.

Na placu Grzybowskim począł iść zwolna.

Nowa fala myśli cisnęła mu się do głowy. Począł uznawać, że jednak była to jedyna sposobność odszukania tego nieszczęsnego Wiktora, a potem i zobaczenia się z Józią. Kto wie, co mu dalszy ciąg dnia przyniesie? Może nie zostanie w Warszawie i wróci jeszcze na wieś?

— Dorożka! — zawołał, decydując się nagle.

Dorożka podjechała.

— Na Piwną! — krzyknął pan Konrad

— A numer, proszę pana?

Pan Konrad począł trzeć czoło dłonią, jakby sobie chciał coś przypomnieć. Powiedziano mu jednak tylko: „Piwna, naprzeciw kościoła."

Powtórzył to dorożkarzowi i po chwili pędził we wskazane miejsce.

Szczęście sprzyjało mu tym razem. Trafił.

(Dalszy ciąg nastąpi)

TROCHĘ O MODZIE.

Ze wszystkich władczyń świata najbardziej nieubłaganą, najszerzej rozpanoszoną w sercach i głowach ludzkich jest... Moda. Jest także najkapryśniejszą. Umie się wciskać do najciaśniejszych zakątków domu, przestawiać sprzęty, zmieniać meble, przewieszać firanki, a w szafach i garderobach rządzi się, jak u siebie. Co najdziwniejsza, że własne jej ofiary własnemi rękami dopomagają jej uciskowi, który bywa tak wielki, że często, bardzo często sprowadza im do spiżarni pustkę, wyziębia piece wczasie mrozu, zakłóca sen i od rana do nocy udręcza niepokojem.

— Ach ta moda!... — wołają nieraz z oburzeniem najzapalczywsze modnisie. — Najmniej cztery razy doroku rujnować się na zmiany, których nikt nie przewiduje i które spadają niespodziewanie, to rzecz okropna!

Prawda, tylko owo oburzenie na nic się nie przyda, ponieważ oburzający się nie myślą wcale o wyrwaniu karków zpod jarzma kapryśnej władczyni.

— Nie iść za modą, jest to odróżniać się od tłumów, ośmieszać się zaniedbaniem lub oryginalnością, jest to poprostu wznosić głowę nad miarę zwykłą, dozwoloną przez rozsądek.

— Iść za modą ślepo, jest to wyrzekać się wszelkiej samodzielności, ulegać woli absolutnej w sprawach najbardziej osobistych, wciskać się w gniotący szablon najzupełniejszej pospolitości. Jest to często rujnować się i gubić, podkopywać dobrobyt rodziny, obniżać wartość moralną swoję i innych.

A przeto znajdujemy się wobec takich, tak bardzo różniących się głosów, niby między Scyllą a Charybdą, między wirem otchłani a zrębem skały, o którą łacno nawa rozumowania strzaskać się może. Iść na prawo, czy na lewo?... to właśnie kwestya, dla której na chwilę dopraszam się uwagi swoich czytelniczek.

Skoro ludzkość uznała nieodzowną potrzebę ubierania się, dla wygody, bezpieczeństwa, konieczności, mogła była poprzestać na samym *ubiorze*. Wrodzony jednak instynkt piękna sprowadził następnie potrzebę *stroju*, który jest tem właśnie w stosunku do ubrania, czem jest, dajmy na to, kolumna koryncka sali balowej w stosunku do słupa, podpierającego strop lichej szopy karczemnej. I to co jest z natury swej szlachetne bardzo, owo poczucie piękna, w dalszym swoim pochodzie stało się źródłem wielu zboczeń, głupstw, śmieszności a nawet i występków.

Niestety, przyznać trzeba rękom ludzkim zupełną umiejętność psucia rzeczy najlepszych i najpiękniejszych! Ktoby to był powiedział przed wiekami, w epoce Grecyi Fidyaszowej, że przepiękna tunika, tak ujmująco a swobodnie przystrajająca kształtne postacie Atenek lub Spartanek, kiedyś zamieni się od góry w krępujący gorset, a od dołu w wydętą krynolinę; że lekkie sandałki Lacedemonek przybiorą po wielu wiekach kształty paryzkiego bucika, w którego zarysach niema ani cienia natury i którego używanie jest męczarnią; że wydatność linij falistych, określających zdrowe i pełne krwi i ciała postacie cór Hellady, wyrodzi potworną, karykaturalną turniurę; że złote obręcze na czarnych kędziorach dziewic Koryntu przerodzą się w *wieku najucywilizowańszym* w budy o półtorałokciowych rondach, w śmietniki pełne sztucznego zielska, udanych robaków i zdechłego ptactwa!

A przecież takie przemiany zaszły i piękna Greczynka, zwdziękiem niosąca na ramieniu amforę od krynicy, w której widziała oblicze swe i figurę takiemi, jakiemi stworzyli je bogowie, nie domyśliłaby się z pewnością *kobiety* w tych dziwacznych, pstrych, pokoszlawionych, pościskanych lub powypychanych paniach, które w kilkanaście wieków po niej wywalczyły sobie miana *dam* i *modniś*.

Zestawiliśmy tu umyślnie dwa krańcowe przeciwieństwa, wiedząc napewno, że zestawienie to wywoła na ustach czytelniczek wesoły uśmiech dobrego humoru, a zapewne i niedowierzania.

Rzecz to bardzo naturalna. Wszelka krańcowość kryje w sobie zarodki śmieszności, nie dowodzi to jednak wcale, aby była zdecydowaną przeciwniczką wszelkiej zdrowej racyi. Z modą naprawdę rzecz się ma tak, że mają słuszność i ci, którzy ją uważają za potrzebną, i ci, co ją uważają za źródło złego. Potrzebną jest, gdy tylko nie bywa zbyteczną, a wtedy źródłem złego być nie może. To, co się zowie *„juste milieu,"* a co nazwalibyśmy poswojemu rozsądnem umiarkowaniem, doskonale reguluje tę zawiłą kwestyą. Reguluje zaś tym trybem, że skoro moda trzyma się właściwej miary, skoro jest rozumnie stosowaną *potrzebą estetyczną*, nie zaś *bezmyślnym zbytkiem*, wtedy zgodzić się na nią należy i potępiać jej w zasadzie się nie godzi.

W dalszych bowiem następstwach potępienie musiałoby się rozciągnąć do wszystkiego, co nie jest tylko zaspokojeniem pierwszych, najelementarniejszych potrzeb natury ludzkiej. Wypadałoby zatem, w myśl zdrowej logiki, usunąć z kuchni wszelkie przyprawy, począwszy od wanilii, a skończywszy na soli; z pokoju wszelaki mebel, aż do szafy, którą przecież doskonale zastąpić mogą kołki na ścianie; z życia wszelką zabawę, wszelką przyjemność moralną i estetyczną. Jak przystrój kapelusza lub okrycia, wobec logiki takiej okazałyby się zbytkiem teatra, galerye obrazów, wielkie tłumne obchody, wszystko co wykracza poza pospolitą a elementarną potrzebę. Ludzkość wobec tego cofnąćby się musiała do stanu pierwotnego, w którym rozrywane mięso uduszonego zwierzęcia za pokarm, nora wygrzebana w ziemi na mieszkanie, skóra obdarta na odzież wystarczać muszą i mogą.

Moda jest tak samo dziecięciem cywilizacyi, jak sztuka, jak wszelki przystrój potrzeb życiowych. Obejść się bez niej nie można, ale obchodzić się z nią należy ostrożnie i umiejętnie. Nie godzi się zapominać, że źródłem jej jest poczucie piękna i że wszystko, co w niej to poczucie razić może, zasługuje na bezwarunkowe potępienie. Nie jest ona poto, aby kształty ludzkie zamieniać w karykaturalne krzywizny, aby postacie ludzkie łamać w linie nieprawdopodobne. Nie jest też poto, aby w odniesieniu moralnem stawać się bezmyślnym zbytkiem, nadużyciem, zniszczeniem spokoju osobistego i domowego, podkopaniem bytu rodziny. Bo to wszystko rzeczy brzydkie, więc zasadniczo naturze jej przeciwne. Mody przeznaczeniem jest w przystroju ludzkim regulować sprawę piękna, dobrego smaku, wdzięku, aby w niej wyrabiać to, co się pospolicie zowie *stylem*, a co wyrabiać się powinno zgodnie z postępującym naprzód duchem czasu i rozwojem pojęć.

Coprawda, to dla osiągnięcia takich celów zbyteczną jest niepowściągniona ruchliwość mody, która wywołuje zmiany tak szybkie, jak pory roku. Ale i na te zmiany zgodzić się trzeba ze względu że im niepodobna naznaczyć programowo jakichś właściwych a stałych momentów. W sprawie przemian modnych jest to jeszcze złe bardzo małe, daleko większem jest ogólne a mylne przekonanie, iż każda zmiana mody obowiązuje wszystkich.

Jakto, zarówno wielkie damy „towarzystwa," jak skromne mieszczki, zarówno żony bogatych przemysłowców, jak ubożuchne małżonki oficyalistów? Alboż moda nie wyrabia swoich pomysłów odpowiednio dla ludzi różnych klas i o różnej możności? Czyż nie przystraja jednako starannie aksamitów i atłasów, jak tanie materyały wełniane lub bawełniane? Jeżeli chciwe i niebaczne ręce strojniś sięgają po to, czego nie przeznaczono dla nich, jeżeli pożądliwość ich każe im się opłacać ruiną, alboż to wina mody? Nie dla wszystkich kraje materye Worth paryzki, nie dla wszystkich *Magasin du Louvre* zapełnia swoje szafy najkosztowniejszemi konfekcyami, nie dla wszystkich też pierwszorzędne modniarki warszawskie sprowadzają znad Sekwany modele, wedle których ubierać się mogą tylko bogate panie. Ale choć nie wszyscy mogą i powinni korzystać z tak kosztownych pomysłów mody, to przecież każdemu służy prawo korzystania z najświeższych pomysłów kroju i przybrania wedle stanu i zamożności. I owszem, nie korzystać z tego prawa jest istotnie odróżniać się, wyodrębniać, oryginalnością zaniedbania ściągać na siebie zarzut samolubstwa *sui generis*, które tyle właśnie niewłaściwem jest, ile śmiesznem.

W sprawie mody, którą można wybornie stosować do miary swojej, modniarki miejscowe mają coś więcej do czynienia nad ślepe naśladowanie modelów i żurnalów paryzkich. Mogą je brać za motywy do pomysłów własnych, odpowiednich potrzebom i warunkom miejscowym. O tem, niestety, nie pamięta się wcale. Gdyby na przykład dyktatorem w kwestyach mody był Neapol, przeszoszonoby żywcem jego pomysły na bruk warszawski i nasze modnisie lekkomyślne przy końcu Października ubierałyby się sezonowo jak kobiety włoskie, w lekkie tkaniny, właściwe gorącemu słońcu tamtejszej jesieni. Ślepe naśladownictwo sprawiło to, że któregoś roku damy warszawskie prześcigały się w noszeniu staników wyciętych i jaknajkrótszych rękawów, bez względu że ubiór taki jest w klimacie naszym anti-hygienicznym nonsensem. Ślepe naśladownictwo chce, aby młode dziewczątka i chłopięta nie okrywały nóg, co przecie naraża je na proste niebezpieczeństwo nabywania ciężkich i groźnych na całe życie chorób. Bezmyślne stosowanie pomysłów obcych w wielu bardzo razach prowadzi do następstw bardzo smutnych, a pierwszem, ogromnem złem, jakie z tego źródła płynie, jest naśladowanie nietylko tych samych krojów, ale i materyałów.

Materyały te potrzebaby przeważnie sprowadzać z zagranicy, rujnować tem siebie i przemysł krajowy, który w rozmiarach, w jakich istnieje, doskonale nastarczyćby mógł potrzebom mody, stosowanej rozumnie i... *excusez du peu...* uczciwie.

S.



VII.

Krew jest owym cudownym płynem, który wszystkie tkanki naszego ciała odżywia; z niej czerpią one materyał potrzebny do wzrostu od pierwszej chwili naszego życia, a po ukończeniu wzrostu materyał potrzebny do utrzymania ich w stanie dla całości organizmu pożądanym.

To wielkie znaczenie krwi dla tkanek okaże się jeszcze tem większem, jeżeli zważymy, jak różnorodne tkanki składają nasz organizm, tkanki, których skład poznaliśmy poprzednio. Kości, ścięgna, mięśnie, mózgowie i nerwy, nakoniec tyle organów o bardzo złożonej budowie, jak kanał pokarmowy, wątroba, śledziona, nerki, płuca i inne, wszystkie one istnieją przez lat szereg i spełniają swe użyteczne czynności tylko dzięki tej krwi, która przez nie przepływa i zostawia w nich takie ze swoich części składowych, jakie dla danego organu, dla danej tkanki są pożyteczne i potrzebne.

Z czegóż więc składa się ten pożyteczny płyn, bez którego życie nasze byłoby niemożliwem?

Krew składa się z części płynnych i stałych i zawiera w sobie gazy. Główna część składowa krwi, *osocze*, jest jasną jak woda, lub lekko żółtawą. W osoczu pływają ciałka krwi zwane krążkami, a ilość ich jest nadzwyczaj obfita i wynosi 4 do 5 milionów w jednym milimetrze sześciennym.

Osocze składa się z wody (około 78%), białka (6%) rozpuszczonego, soli i tłuszczu, zawiera więc w swoim składzie te wszystkie części, które dla tkanek ciało nasze stanowiących są potrzebne.

Krążki krwi są dwojakiego rodzaju, białe i czerwone, i stanowią w krwi 13%—14%. Krążki białe są to kulki okrągłe, cokolwiek większe od czerwonych i zupełnie bezbarwne. Ilość ich u zdrowego człowieka jest znacznie mniejsza, niż ilość czerwonych, tak że 1 ciałko białe przypada na 300 — 500 czerwonych. Krążki czerwone są cokolwiek mniejsze niż białe, mają formę krążka nieco cieńszego wśrodku niż przy bokach; zabarwione są na czerwono i one to właśnie nadają krwi kolor czerwony. Po przyjęciu pokarmu ilość ciałek białych we krwi chwilowo się pomnaża; w pewnych stanach chorobowych, jak na przykład przy znanej powszechnie blednicy, którą tak często spotykamy u panienek pomiędzy 14—20 rokiem życia, ilość białych ciałek we krwi znacznie się zwiększa. A powiększenie to niekorzystnie wpływa na odżywianie i wywołuje szereg nieprzyjemnych i trudnych do usunięcia zaburzeń. Czerwone ciałka krwi składają się z białka i zawierają barwnik i sole żelaza, biorą one ważny udział w odżywianiu tkanek i w dostarczaniu im tlenu, w którym się w płucach przy akcie oddychania zaopatrują. Białe ciałka stanowią formę przejściową, z nich bowiem prawdopodobnie tworzą się ciałka czerwone.

Nie możemy się tu wdawać w bardziej szczegółowy i ściślejszy rozbiór składu chemicznego osocza i ciałek krwi; to, cośmy zaznaczyli, będzie dostatecznem dla zrozumienia znaczenia krwi w organiźmie.

Oprócz części płynnych i stałych we krwi znajdujemy jeszcze gazy, a mianowicie tlen i kwas węglowy.

Tlen jest-to gaz znajdujący się w powietrzu atmosferycznem, którego piątą część składową stanowi. Posiada on własność utleniania, to jest łączenia się ze wszystkiemi ciałami, tak pierwiastkami, jak i ciałami złożonemi, a szczególną skłonność do łączenia się z żelazem.

Żelazo znajduje się w czerwonych krążkach krwi i przy oddychaniu łączy się z tlenem wchodzącym w płuca z powietrzem. Krew w płucach utleniona wraca, jak wiemy, do serca i ztąd jako krew tętniąca rozchodzi się po całem ciele do tkanek i organów.

W tkankach, przez które przepływa krew, oddaje ona komórkom część swej wody, białka i soli, oraz część tlenu, poczem jako krew żylna wraca do serca, aby się w płucach znowu utlenić i zamienić na krew tętniczą. W płucach krew żylna wydziela z siebie kwas węglowy, który znajdujemy w wydychanem przez płuca powietrzu.

Tlen zawarty we krwi ma w organiźmie dwojakie znaczenie: najpierw wchodząc wzwiązki z tkankami, wytwarza *ciepło* wskutek stopniowego gaszenia; ciepło przy tem powstające udziela się krwi, a przez nią całemu organizmowi, tak że wstanie zdrowia ciepłota ciała człowieka wynosi 36° do 37½° Celsiusza, ciepłota zaś krwi jest cokolwiek wyższą. Ciepłota ciała odbywa nieznaczne wahania w stanie zdrowia, co zależy od bogactwa krwi i jej składu, od przyjmowania pokarmów i napojów i t. p. Większe wahania ciepłoty ponad prawidłowe granice są już zjawiskiem chorobliwem i towarzyszą chorobom tak zwanym gorączkowym.

Wtedy to temperatura ciała podnosi się do 39°, 40°, 41° i wyżej, zniżając się chwilowo do temperatury normalnej 37°, lub nie dochodząc do tej granicy pozostaje ciągle w granicach wyżej normy. Stan taki nazywamy *gorączką*. Wysokość gorączki ma wielkie znaczenie w chorobach, a oznaczamy ją zapomocą termometru Celsiusza, na którym oprócz stopni wyrażone są jeszcze części dziesiętne stopnia, gdyż ze względów lekarskich nawet pół stopnia gorączki ma swoje znaczenie. To podniesienie ciepłoty ciała w gorączce zużywać musi większą ilość tlenu w krwi, naturalnem przeto następstwem gorączki będzie przyśpieszenie krążenia krwi i częstości oddychania. W gorączce więc tętno się przyśpiesza, oddychanie także staje się szybszem, części składowe krwi, a mianowicie białko i tłuszcz, ulegają szybszemu zużyciu, równie jak części składowe samych tkanek; wskutek tego chory gorączkujący szybko chudnie, traci na wadze, tłuszcz jego znika w skórze i w tkankach wewnętrznych, a nawet tkanka mięsna zużywa się i mięśnie stają się wiotkiemi i cienkiemi.

Najwięcej jednak w chorobach gorączkowych zużywa się sama krew, która zpowodu małej ilości przyjmowanych przez chorego pokarmów mało zyskuje materyałów odżywczych, a wiele traci. Ubożeje więc ona we wszystkich swoich częściach składowych, ilość krążków czerwonych zmniejsza się w niej, jak również ilość białka rozpuszczonego w osoczu. Krew, jak mówimy, staje się wodnistą i rzeczywiście ilość wody w porównaniu z innemi częściami składowemi staje się większą. Każda choroba ostra lub chroniczna, gorączkowa czy bezgorączkowa, wywołuje takie zubożenie krwi, dlatego chorzy lub rekonwalescenci po chorobach mają skórę bladą, cienką, przez którą łatwo przeświecają żyłki wodnistą krwią napełnione.

Oprócz wytwarzania ciepła w organiźmie, tlen ważną jeszcze spełnia czynność przy tworzeniu rozmaitych związków w tkankach ciała i przy tworzeniu samych tkanek. Im krew bogatsza w tlen, tem odżywianie tkanek lepsze i dokładniejsze, im uboższa, tem odżywianie gorsze. Kto ma płuca zdrowe, ten może przez prawidłowe oddychanie lepiej krew swoję utleniać, a tem samem lepiej tkanki swoje odżywiać. Kto cierpi na płuca, ten ma i krew ubogą w tlen i krążki czerwone i cały organizm jego stopniowo podupada przez niedokładne i niedostateczne odżywianie i utlenianie.

Wiedząc to, pojmiecie, szanowne panie, jak ważnem jest czyste, bogate w tlen powietrze dla rozwoju i życia człowieka.

Od pierwszej chwili istnienia, od pierwszego oddechu, dziecię nowonarodzone potrzebuje czystego powietrza, a potrzebuje go tak, jak mleka matki. Najzdrowsza dziecina o różowych policzkach, pomieszczona w ciasnym, ciemnym i dusznym pokoju, choćby najlepszą miała mamkę, nie wzrasta, ani nie rozwija się należycie. Krew jej, zamiast się wzbogacać i powiększać stosownie do potrzeb ciała, ubożeje z dniem każdym, staje się bladą i wodnistą, a to ubóstwo krwi wywołuje wychudzenie całego ciała, które z dniem każdym traci na wadze, a którego wzrost jest tylko pozornym. I nic dziwnego. Krew zdrowa, to wielki budowniczy, który buduje tkanki naszego ciała przy nieustannym jego wzroście; krew uboga i chora, to zły gospodarz, który przy najlepszych chęciach nie jest wstanie uczynić zadość potrzebom tak różnorodnej gospodarki.

Cały więc inwentarz marnieje, cały budynek powoli rozsypuje się w gruzy, całe gospodarstwo, zamiast kwitnąć i rozwijać się, dąży ku ruinie, ku chorobie i śmierci.

W takim stanie rzeczy nawet obfite i racyonalne pożywienie nie jest wstanie zapobiedz złemu, gdyż przy niedostatecznem utlenianiu krwi nie może ona z pokarmów wyciągnąć tego wszystkiego, co dla niej jest potrzebne, a wyciągnąwszy nawet, nie może należycie przyswoić i na pożytek dla organizmu obrócić.

Widzimy więc, jak ścisły związek zachodzi pomiędzy odżywianiem a oddychaniem, które to sprawy obiedwie odbywają się za pośrednictwem krwi naszej. Wszystkie bowiem czynności naszego ustroju ściśle się z sobą łączą i wzajemnie wspierają, tak że upośledzenie jednej sprowadza za sobą upośledzenie drugiej.

Tylko harmonia wszystkich czynności ustroju stanowi o zdrowiu naszem.

Tylko więc zrozumienie wszystkich warunków zdrowia może nam dać jasne wskazówki, jak powinniśmy postępować, ażeby zdrowie nasze zachować i wszelkim szkodliwym wpływom zapobiegać.

D-r Al. Malinowski.

KRONIKA
działalności kobiecej.

— P. Marya Dobrowolska, przebywająca w Genewie, wydała ostatniemi czasy bardzo zajmującą broszurę w języku francuzkim, traktującą wymownemi dowodzeniami o tem, jakim sposobem i jakiemi środkami należy postępować w toksologii, aby przy-

nieść ulgę w chorobie. Cenne to studyum, noszące tytuł „Contribution à l'étude de l'anésthène obstétricale" zwróciło uwagę prasy miejscowej, która też wiele pisze o wybitnym talencie młodej autorki. Pani Marya Dobrowolska ukończyła w roku zeszłym studya medyczne w Genewie.

— Czasopismo kobiece „La Donna" w Rzymie radośnie wita otwarcie oddzielnego gimnazyum dla dziewcząt; dotychczas bowiem istniejące w Rzymie szkoły były wspólne dla płci obojga, obecnie zaś, władza pedagogiczna, idąc za ogólnym prądem europejskim, uchwaliła, aby kształcenie młodego pokolenia odbywało się w oddzielnych zakładach, z którego to powodu panie rzymskie wyrażają swe zadowolenie, chwaląc i przyklaskując tak sympatycznej innowacyi.

— W Londynie od roku 1874 istnieje zakład naukowy „London School of Medicine for Women," w którym kobiety przygotowują się do przyszłych studyów medycznych. Angielki chętniej niż kobiety innych narodowości śpieszą na uniwersytet, oddając się z niekłamanym zapałem i prawdziwem zamiłowaniem rozmaitym gałęziom wiedzy, szczególniej wszakże studyują gorliwie nauki przyrodnicze i matematykę, a kontyngens słuchaczek na tem polu jest bardzo znaczny. Sławny matematyk-kobieta M-rs Somerville, przedstawicielka szkoły matematycznej w Oxfordzie, garnie do siebie mnóstwo zwolenniczek, i podobnie jak lady Margaret, otoczona jest miłośniczkami przyrody.

Mury College w Cambridge mieszczą we wnętrzu swojem przeszło sto studentek, z których zaledwie dziesiąta część poświęca się medycy ie. Ale że właściwie wstępują Angielki rychlej, niż kobiety innych krajów, na uniwersytet, pochodzi to ztąd, iż stanowisko nauczycielki domowej lub guwernantki jest istotnie bardzo opłakane i pożałowania godne. Klasa wyższa w całej Anglii wogóle z uporem dziwnym jakimś, niewytłómaczonym zaiste, źle traktuje wychowawców swych dzieci, przyszłych obywateli i lordów, którzy przestają już w dzieciństwie tak samo jak ich rodzice cenić szlachetny i tyle niewdzięczny stan nauczyciela. Zdarza się, iż nauczycielka, kierująca wychowaniem dzieci w domu arystokratycznym dajmy na to od lat ośmiu, nagle wezwana przez umierającego rodzica, objawia pokornie chlebodawcom swoim pragnienie wyjazdu do rodziny; wówczas traci natychmiast miejsce, niepytana nawet o przyczynę opuszczenia domu, wktórym przez tak długi czas nie zdołała rozbudzić cieplejszego dla siebie uczucia. Guwernantka angielska nie należy nigdy do rodziny; rodzice, równie wychowańcy, nie starają się ani do niej, ani jej do siebie przywiązać, choćby pośród nich przebywała jaknajdłużej.

Nic tedy dziwnego, że skoro tylko wrota uniwersytetu rozwarły podwoje dla kobiet, Angielki tłumnie cisnąć się do nich zaczęły, albowiem pominąwszy, iż wolne od wszelkiej kokieteryi, w samej rzeczy zapragnęły gorąco wiedzy i nauki, sprzykrzyło im się jeszcze tak bardzo pogardzane nauczycielstwo.

— Teresa Vausova, nowelistka czeska i czynna współpracowniczka miesięcznika „Slovenskie pohlady," wystąpiła w ostatnich czasach z głośnym romansem, noszącym tytuł „Sierota Podgradskich" którem to dziełem dowiodła zdolna autorka, iż może zająć wybitne stanowisko w świecie naukowym i literackim. Teresa Vausova, zdaniem krytyków praskich, posiada niepospolity talent pisarski, ponieważ nietylko że włada doskonale piórem, nietylko że potrafi zająć czytelnika, lecz nadto przyciąga poezyą, przebijającą się w pięknych opisach, tryskającą z każdej duszy jej bohaterów.

Czasopisma w Pradze wspominają o drugiej pisarce czeskiej, Gabryeli Preiss, dramat której „Jeji Pastorkyne" zyskał powszechne uznanie w Pradze, oraz wywołał istny entuzyazm pośród pań czeskich.

— **Grecya.** Kobieta w Grecyi wogóle, szczególniej zaś w Atenach, pomimo gorącego temperamentu swego i energicznego charakteru, była i jest po dziś dzień rodzajem towaru, którym ojciec lub brat frymarczy, pragnąc sprzedać go jaknajdrożej; ona nie ma głosu przy zawarciu małżeństwa, winna być ślepo posłuszną ojcu i bratu, idąc za ich poleceniem, a później mężowi, będąc wierną żoną i wzorową matką. Spartanki wszakże posiadają niejaką na tym punkcie wolność i swobodę; wyzwoliły się one zpod despotyzmu silnej połowy rodu ludzkiego, choć nie bez walki. Spartanka nie wychodzi inaczej zamąż, jak tylko zaskłonnością serca; sprzedać siebie nie pozwoli za nic w świecie. A jakiż ztąd rezultat? Oto „Le Journal des dames, par M-me Callirhoë Parreu" w Sparcie, dowodzi że przymusowe związki w Atenach są nader zgubne dla obu stron. Liczne przykłady niewierności żon, złych matek, lekkomyślnych kobiet, chcących się tylko podobać, świadczą o tem zbyt jawnie.

Spartanka, przeciwnie, mężowi rzadko kiedy się sprzeniewierza, dzieci swe wychowuje przykładnie, oddając się przytem domowi i gospodarstwu z całem zamiłowaniem; nie stroi się, nie jest wymagająca, słowem jest najlepszą żoną, matką i gospodynią.

M-me Collirhoë Parreu, przedstawicielka dziennika „Le Journal des Femmes" ubolewa mocno, iż kwestya kobieca jest jeszcze tak zacofaną w jej ojczyźnie. „Gdyby emancypacya kobiet—twierdzi — zdołała rozszerzyć się pośród nas bardziej, niż dotychczas, osiągnęłyby córy Grecyi, obok samodzielności ducha, godność osobistą i śmiałą odwagę, tyle im potrzebne wobec jarzma i despotycznej samowoli ojców, braci i mężów. Emancypacya, studya wyższe nie przeszkadzają bynajmniej kobiecie do pełnienia i nadal świętych obowiązków, owszem, należy nawet przypuszczać, iż oddawałaby się im z większą gorliwością, ponieważ zaczynają być dla nich owocem zakazanym."

Pomimo więc, iż na uniwersytetach greckich pojawiły się już studentki, pomimo iż kilka pokończyło studya, pani Parreu nie przestaje nawoływać swych sióstr do niezależnego życia, wlewając w nie gorączkowo ducha emancypacyi.

Urodzenie córki w Grecyi jest najwyższem nieszczęściem dla matki nowonarodzonej; z niewypowiedzianą troską i bólem spogląda na nieporadne stworzenie, mające w przyszłości stać się przedmiotem haniebnego przekupstwa ojca lub brata, stanowcza wola których, twarda i zimna jak stal, nie znosi najlżejszego oporu.

Wymowne artykuły pani C. P. zatem, oburzające się śmiało i otwarcie na podobne postępowanie, nie na żarty zapalają młode główki dziewczęce, rozwijając w nich myśl samodzielną. Nowa idea mniej więcej brzmi jak następuje: „O! pokażemy ojcom, braciom i mężom, iż każda z nas potrafi być czemś więcej, jak biernem narzędziem."

Hasło powyższe roznosi echo po całej Grecyi.

— **Ruch kobiet w Belgii.** W roku 1869 kilkanaście zaledwie kobiet, zamężnych lub dziewcząt, było na urzędach municypalnych, gdzie zresztą żadna długo utrzymać się nie mogła, zpowodu niechęci, okazywanej im ze strony mężczyzn, i ich osobistej niezdarności. Lecz z biegiem czasu zaczęły przywykać do nowych zajęć tak, iż w roku 1884 spotykamy w Belgii 397 urzędniczek na drogach żelaznych, 315 zajętych w biurach pocztowych i telegrafach, oraz mnóstwo pracownic w różnych administracyach publicznych, a wszystkie, pełniąc obowiązki swe nienagannie, odpowiadają w zupełności wymaganym warunkom. Obecnie cyfra kobiet, pracujących na tem polu, wzrosła jeszcze, wmiarę jak siła i energia urzędniczek znacznie spotężniały. Od roku 1869 do 1890 uczyniła działalność niewiast belgijskich tak szeroki krok naprzód, iż trudno znaleźć choćby jednę instytucyą, w którejby nie pracowała kobieta.

Przed Belgią atoli rozwijano stopniowo we Francyi i Anglii kwestyą kobiet. „La Société de statistique" w Paryżu z roku 1889 wskazuje nam wcale pokaźne liczby urzędniczek w bankach i zakładach rządowych; i tak w roku 1887 pracowało na drogach żelaznych 21,200 kobiet; w biurach pocztowych i telegrafach 10,000; w La Banque de France 200; w Crédit Foncier 265; w Crédit Lyonnais 150. Tak samo w Anglii dowodzi statystyka, że w samych lecznicach, szpitalach i aptekach znajduje się 35,175 pracownic; w zakładach rządowych i ekonomicznych 3,017 kobiet i t. d., a w obu krajach uznano, iż urzędnik rodzaju żeńskiego pełni wszelkie obowiązki z zupełną znajomością rzeczy, starając się pracą gorliwą dowieść, iż narówni z mężczyzną potrafi być pożytecznym członkiem społeczeństwa, pośród którego przebywa. Niektórzy ekonomiści francuzcy i angielscy twierdzą stanowczo, iż kobieta sumienniej poświęca się obranemu zawodowi, niesłusznie więc i niesprawiedliwie postępują oponenci, pragnący bądźcobądź jeśli nie wyrugować, to z pewnością osłabić działalność kobiecą.

H. R.

BIAŁA CZAPLA.

PRZEZ

Sarę Ornę Jewett.

Przełożyła z angielskiego

T. Prażmowska.

I.

Ósmej nie było jeszcze, a już w piękny czerwcowy ten wieczór zmierzchać się zaczynało w lesie, chociaż z poza drzew przeświecały jeszcze ostatnie blaski zachodu. Mała dziewczynina pędziła ku domowi krowę, powolne, uparte, nieposłuszne jej rozkazom zwierzę. Obie zapuszczały się coraz dalej w głąb lasu, coraz dalej od tej odrobiny pozostałego jeszcze światła; ale obojgu ścieżka ta była tak dobrze znaną, że mało im na tem zależało, czy widzą drogę przed sobą.

Dopóki trwało lato, nigdy stara krowa nie czekała na swoją panię u wrót, wiodących na ogrodowy wygon; owszem, za przyjemność to sobie miała zaszyć się w krzaki, gdzie pomimo głośnego dzwonka, który nosiła na szyi, z trudnością przychodziło ją znaleźć, spostrzegła bowiem filutka, że dość jest stać spokojnie, aby się dzwonek nie odzywał. Sylwia długo więc nieraz musiała jej szukać i wołać naprózno, aż do wyczerpania dziecięcej cierpliwości

swojej. Gdyby nieznośne to stworzenie nie dawało tyle i tak wybornego mleka, z pewnością nie uszłyby mu podobne kaprysy, ale Sylwia nie miała co robić z czasem i nieraz nawet, w braku odpowiedniego towarzystwa, bawiła się tą grą w chowanego. Dziś na przykład, choć polowanie na krowę trwało długo, że aż przekorne zwierzę zdradziło się w końcu wbrew zwyczajowi swemu, Sylwia śmiała się tylko, dognawszy jej na brzegu trzęsawiska i pędziła ją teraz ku domowi, pieszczotliwie uderzając prętem brzozowym po grzbiecie. Stara krowa pozwalała się pędzić bez oporu, wyjątkowo nawet sama zawróciła w stronę domu, wyszedłszy z ogrodzenia, i szła teraz drogą szybkim krokiem, nie zatrzymując się prawie dla chwytania traw; widocznie pilno jej było dać się wydoić.

— Co sobie tam babcia myśli, że tak późno wracamy? — pytała się siebie dziewczynka.

Wyszła z domu około pół do szóstej, ale każdy wiedział, jak trudną było rzeczą prędko powrócić z krową. Babka jej, pani Tilley, sama niegdyś się uganiała przez tyle wieczorów letnich za tem utrapieniem rogatem, że nie mogła ganić osób, tracących na to zajęcie wiele czasu; dziękowała tylko Bogu, że jej chociaż Sylwią dał do pomocy. Bezwątpienia jednak poczciwa kobieta posądzała wnuczkę, że przy tej sposobności wałęsa się trochę i na swój własny rachunek. Odkąd świat światem, nie widział nikt dziecka, któreby tak lubiło spacery, a każdy prawie mówił, że to bardzo dla niej dobrze, że na zdrowie to wyjdzie dziewczynie, której ośmioletnie życie upłynęło w ciasnych murach przeludnionego miasta fabrycznego.

Co zaś do Sylwii, tej zdawało się, że dopiero od chwili przybycia na wieś żyć zaczęła i często z litośnem wzruszeniem w sercu przypominała sobie nieszczęśliwą jakąś gieranią, należącą do jednego z dawnych sąsiadów, która w mieście została, biedaczka.

— Boi się ludzi — mówiła sobie z filuternym uśmiechem stara pani Tilley, wybrawszy zpomiędzy licznych dzieci swojej córki tę małą Sylwią dla wzięcia jej z sobą na wieś. — Boi się ludzi, mówicie? No! to nieczęsto będzie ich widywała u nas!

Gdy wreszcie stanęły we wrotach ustronnego folwarku, gdy babka otworzyła drzwi domu a kot, niezbyt o czystość swoję dbały, lecz spasiony mięsem ptaszków na które polował, zaczął się ocierać o ich nogi z powitalnem mruczeniem, Sylwia powiedziała sobie pocichutku, że tu mieszkać jest rzeczą bardzo przyjemną i że za nic w świecie nie chce powracać do miasta.

Dwie przyjaciółki, dziewczynka i krowa, szły więc cienistą drożyną leśną, jedna bardzo powoli, druga troszeczkę prędzej. Krowa musiała jeszcze przystanąć nad strumykiem i pić nie wiem jak długo, tak jakby wygon nie był trzęsawiskiem prawie, a dziewczynka czekała na nią, chłodząc sobie w płytkiej wodzie bose nożyny, podczas gdy wielkie ćmy, o zmroku latające, obijały się lekko o jej głowę.

Szła za krową, krowa ścieżką, ona łożyskiem strumyka, a serce jej biło z radości, gdy słyszała gwiżdżące drozdy.

W gałęziach ponad jej głową pełno było ruchu i hałasu, aż roiło się tam od drobnych ptasząt, z których jedne ani myślały jeszcze zabierać się do snu, podczas gdy inne sennym już świegotem dobranoc sobie mówiły. I Sylwii, powoli idącej, zaczynało się już trochę chcieć spać; ale do domu już niedaleko, a powietrze takie przyjemne! Jak wszystko pachnie naokoło! Rzadko jej się zdarzało być na dworze tak późnym wieczorem: doznawała takiego wrażenia, jakby ona sama zlewała się w jedno z szarawym mrokiem i ruchomem drzew listowiem.

Myślała, ile to już czasu upłynęło, odkąd tu przyjechała na folwark, a to przecie był rok dopiero! I zadawała sobie pytanie, czy tam w hałasie miejskim wszystko tak dobrze idzie podawnemu? Przypomniał jej się szkaradny, z czerwoną twarzą chłopak, który gonił za nią zawsze, żeby ją nastraszyć, przyspieszała więc kroku, pilno jej już było uciec z pod cienia drzew.

Nagle w niewielkiej odległości od siebie, usłyszała gwizdanie i strachem zdjęta, stanęła jak wryta. Nie, nie gwizdanie to ptaka, które słysząc, czułaby się mniej samotną, gwizdanie to było ludzkie, śmiałe, cokolwiek nawet zaczepne.

Zdając tedy krowę na niepewną łaskę losu, Sylwia spróbowała zniknąć w zaroślach, ale zapóźno już było. Nieprzyjaciel spostrzegł ją i głosem bardzo wesołym, bardzo do przekonania trafiającym, wołał jej teraz:

— Hej! mała, maleńka, czy daleką ztąd do gościńca?

A Sylwia, cała drżąca, odpowiedziała tak cichutko, że ją zaledwie słychać było:

— O! dobry kawał drogi.

Biedna dziewczyna z lasu nie śmiała podnieść oczu by spojrzeć w twarz temu wysokiemu młodzieńcowi, który fuzyą niósł na ramieniu, wyszła jednak z za krzaków i iść znowu zaczęła za krową; on zaś szedł przy niej i mówił:

— Poluję, na ptaki tutaj poluję. Straciłem psa i potrzebowałbym czyjejś pomocy. Nie bój się, mała — dodał głosem niezmiernie łagodnym. — Powiedz mi, jak ci na imię, i powiedz, jak ci się zdaje, czy mógłbym przenocować u was w domu? Jutro o świcie ruszę w drogę.

Sylwia czuła się więcej niż kiedykolwiek niespokojną. Czy babcia gniewać się na nią nie będzie? Któż jednak mógł przewidzieć podobny wypadek? Nie było w tem chyba jej winy?

I schyliwszy główkę, z trudem wielkim zdobyła się na odpowiedź: „Sylwia," wtedy jednak dopiero, gdy nieznajomy spytał ją po raz drugi, jak jej na imię.

Pani Tilley stała we drzwiach domu, gdy ukazała się przybywająca trójka. Krowa odezwała się pierwsza, tłómacząc późny powrót przeciągłym rykiem.

— Otóż to, to przynajmniej dobrze, że sama przepraszasz, ty utrapienie stare! Gdzieś znowu siedziała przez tyle czasu, Sylwio?

Ale Sylwia milczała przerażona. Czuła ona, że babka nie rozumie całej okropności położenia, że bierze poprostu nieznajomego za którego z parobków tutejszych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Parę tygodni zaledwie trwającej wiosny pozwoliło rozejrzeć się uważnie w tem, co z zimy pozostało, jako posiew na przyszłość, na plony letnie. Niestety, przegląd dał rezultaty bardzo niepomyślne. Długotrwała, wlokąca się do uprzykrzenia zima, zakończona deszczami ulewnemi, zniszczyła w znacznej części kiełkującą roślinność i ze wszystkich stron kraju słychać tych parę słówek wielkiego znaczenia: „będzie źle!"

Z tego co ludzie mówią (oczywiście nie zawsze prawdę), wnosićby można, że więcej niż trzecia część plonów spodziewanych już przepadła, to zaś, co zostało, tak jest wątłe i liche, że nie obiecuje pociechy.

Kto ma grunta nizkie, ten może nad niemi usiąść i płakać, albo je zaorać nagwałt pod jakąś jarzynę, dla prawidłowego wzrostu której czasu już nie wystarczy, lub ciepła będzie zadużo.

Ponieważ tak smutne widoki na tegoroczne zbiory nie stanowią tajemnicy dla nikogo, a cóż dopiero dla spekulantów, którzy „słyszą jak trawa rośnie," przeto nic naturalniejszego nad ciągłe drożenie chleba. Zapasy zeszłoroczne mają teraz wartość złota, lub lada dzień mieć ją mogą, a to tembardziej, że złe wróżby co do żniw ogarniają całą Europę. Wszędzie zima poczyniła szkody nieobliczone, wszędzie szarpnęła mienia solidne i silne, a słabym i chwiejącym się przygotowała zagładę.

Te wieści hiobowe nie licują wcale z prześliczną pogodą wiosny, przyświecającą ziemi, ale przecież ostateczności schodzą się najłatwiej i taki już jest porządek w naturze wszechrzeczy, niebardzo nawet ciekawej, czy się to ludziom podoba. Ona robi wciąż swoje z nieubłaganą stanowczością, która się nigdy nie cofa, ani waha. Dla niej tworzyć czego nie było, lub niweczyć to, co zdaje się mieć wszystkie pierwiastki trwałości, to wszystko jedno! To i owo jest objawem sił utajonych, które potrzebują zaświadczyć o sobie działaniem, choćby bez celu. Że straciwszy oziminy, rolnik z torbą pójdzie, że z jego upadku skorzysta spekulant zbożowy, podnoszący ceny bez względu na upadek ogólny, to ją nic nie obchodzi. Ona wciąż idzie przed się, z nieubłaganą logiką, której znaczenie mogłoby podkopać całą filozofią ludzką, przykrawaną do maluczkich horyzontów człowieczych. Jedna klęska żywiołowa przemawia silniej, niż tysiąc głosów w kwestyach najpierwszego, ale ludzkiego interesu, i dlatego to może obecnie tak mało się mówi o fakcie wielkiej doniosłości, brzmiącym jednak bez szerszych ech w społeczeństwach.

Fakt zależy na tem, iż drogą telegraficzną zawiadomiono, jakoby pan prezydent Stanów Zjednoczonych zamierzył zwołanie kongresu powszechnego, któryby obmyślił wskrzeszenie Palestyny, jako państwa. A nastąpićby to miało wcelu zebrania tam wszystkich Żydów, osiedlenia i... ulżenia ludzkości, dla której zbyt długo trwające odwiedziny tych tułaczów wiekuistych stały się ciężarem do zniesienia.

Powtarzam, że wiadomość o tem nie okazała się tak właśnie sensacyjną, jakby się tego należało spodziewać. Ludzie nawet specyalnie zajmujący się plotkarstwem nie mówią o niej nic, a ci których ona dotyczy bezpośrednio, to jest Żydzi, uśmiechają się tylko i wzruszają ramionami. Wiedzą oni dobrze, że chociaż pomysł wyszedł z głowy Amerykanina i to człowieka o tęgiej inteligencyi, ale jest niemożliwy do wykonania i na nic się nie przyda. Izraelici bowiem przywykli już do swojej tułaczki, nauczyli się obchodzić bez ojczyzny i ziemi, nie widzą w tem bynajmniej przeszkody dla swej jedności narodowej, a byt ich materyalny tak bardzo nierozerwalnie zespolił się z krajami, śród których żyją, że zmiana pod tym względem sprowadziłaby szkody nieobliczone na strony obie. Palestyna dla Żydów jest tylko ojczyzną w ideale, w marzeniu, w tęsknocie, ale nie w rzeczywistości. Wolą oni na

przykład cały miesiąc stania pod... bankiem, niż jedne chwilę spędzoną na rozpalonych piaskach Ziemi świętej... A im co po tej krainie pustej, obdartej, wyjałowionej, w której niema ani „pana dżedżyca,” ani lombardu, ani giełdy, ani akcyj kolei żelaznej, ani wreszcie tych gojów, co są przecież stworzeni na to, aby narodowi wybranemu wydobywali złoto z ziemi, dyamenty i perły z wód, zyski z krwawego potu własnego...

Tak zwana „kwestya” żydowska nie da się już dzisiaj rozwiązać za wolą ludzką, która wobec niej zbyt długo pozostawała w nieruchomości uśpienia. Dobrze i rozumnie nazwał „Izraelita” pokuszenia tego rodzaju *mrzonkami*... Ominięto dla tej sprawy drogę pochodu naturalnego i tylko to rozwiązanie jej sprowadzić może, co *naturalnem* będzie, co się nie skłóci z prawami natury. Ale wziąć w garść kilkanaście milionów ludzi, rzucić ich na jakiś daleki kawałek ziemi i kazać im tam być państwem i narodem, żyć i rozwijać się... to chyba nienaturalne, to tylko najprawdziwsza mrzonka!

Chociaż pomysł wskrzeszenia Palestyny urodził się na gruncie amerykańskim, w sferze najwyrafinowańszej praktyczności, wzięliśmy nad nim górę, my, istoty najniepraktyczniejsze pod słońcem.

Oto przyszła komuś myśl zawiązania towarzystwa szczudlarzy. To już wolę! Problemat jest do rozstrzygnięcia łatwy, obejdzie się bez zwoływania kongresu powszechnego, zapewnić zdoła skutki niezawodne, a w wykonaniu trudności napotkać nie może. To aż miło! Przytem proszę pamiętać, że z wychowania i tradycyi posiadamy wyrobioną skłonność do chodzenia na szczudłach. Wie o tem doskonale pierwszy lepszy kelner niemiecki, który warszawskiego... kapelusznika lub fryzyera w podróży tytułuje „jaśnie panem” bez protestu. Wie o tem napewno każdy lichwiarz, dostarczający pieniędzy na świetne bale, okazałe rauty, wystawne przyjęcia i lukullusowe uczty. Dziwię się tylko, że pomysł chodzenia zbiorowego na szczudłach przychodzi tak późno... Trochę dawniej byłoby ono miłym sportem, dziś stać się może koniecznością, zaspokojeniem wyrobionych instynktów. Skoro nie można już inaczej, niech będzie chociaż tak...

Czy myśl ta znajdzie urzeczywistnienie i serca tak lekkie, iż wzrósłszy na ich piaszczystej glebie, wyda owoce, to jest zagadką przyszłości; my tymczasem zwróćmy się ku dniom ubiegłym. Przyniosły one otwarcie przystani Towarzystwa wioślarskiego, fakt ogromnej wagi dla potężnego zastępu sportsmenów, a z tego powodu nienadający się do obojętnego przemilczenia. Wiadomo przecież, że otwarcie przystani jest zarazem otwarciem długiego okresu wycieczek, zabaw, pohulanek, uprawianych przez stowarzyszenie „dzielnych” z zamiłowaniem niestygnącem ani na chwilę. Z tej strony karnawał letni znajduje zawsze poparcie bardzo skuteczne i może się obywać bez maskarad w salach redutowych lub balów w Dolinie szwajcarskiej swego kolegi zimowego.

Tydzień ubiegły przyniósł nam także trzy premiery teatralne i jeden benefis jubileuszowy. Co się tyczy owych trzech nowości, to jedna z nich, a mianowicie „Post scriptum” Augiera, dobrze jest znaną z przedstawień z przed laty kilkunastu w daleko lepszym przekładzie, niż ten, którym nas uraczono obecnie. A co się tyczy przekładów, to dzieją się z niemi rzeczy dziwne...

Oto i druga nowość, „Księżna Martin,” Meilhaca, była także tłómaczona dawniej, i daleko lepiej niż teraz, a jednak kazano ją przekładać nanowo... gwoli jakim celom?... to już musi pozostać tajemnicą zakulisową. Obie te *nowości* zasługiwały na to całkowicie, aby ich nie ukazywano publiczności, która jeżeli nie dostaje tego, co imponuje logiką i psychologią, to pragnie chociaż pośmiać się szczerze i wesoło, ale nie nudzić.

Trzecią premierą było przysłowie Chęcińskiego p. t. „W niełasce.” Czekało ono lat kilkanaście na swą sceniczną kolej i doczekało się... sąsiedztwa dwóch miernot, które były najnudniejszem przygotowaniem do jego wysłuchania. A szkoda... bo „W niełasce” jest utworem bardzo interesującym, choć nie pod wszystkiemi względami wybornym. Bądźcobądź, wyszedł on zpod pióra prawdziwego poety, które i wadliwym pomysłom umiało dawać kształty piękne. Trochę to może odleżało się i straciło woń świeżości, bo temat tej sztuki obrabiany był wczasie między chwilą jej narodzin i momentem wystawienia powielekroć, często po mistrzowsku, ale zawsze pozostało w niej dla dzisiejszego widza tyle, że mu do zadowolenia estetycznego wystarczyć może.

Jubileusz z benefisem miał na celu pana Jana Tatarkiewicza, który przez lat dwadzieścia pięć pracował dla sceny warszawskiej użytecznie i uczciwie. Aktor z talentem, reżyser z wytrwałością i pracowitością ani na chwilę niezachwianą, zasłużył na uczczenie zasługi i serdeczne życzenia... Szkoda zaledwie, że jego benefis, wbrew zwyczajowi, przyniósł tylko rzecz znaną i oklepaną i okrom celów „dochodowych,” innych nie wykazał...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Biblioteka.** Zabudowania uniwersyteckie pomnożone zostaną nowym gmachem, przeznaczonym na pomieszczenie Biblioteki oraz sal do czytania. Gmach ten wznosić się będzie na środku dziedzińca uniwersyteckiego, w miejscu, gdzie dziś wodotrysk.

Koszta jego budowy obliczone zostały na 300 tysięcy rubli. Zabudowania, w których dotąd mieści się Biblioteka uniwersytecka, inne otrzymają przeznaczenie.

* **Posucha kompozytorska.** Dziwna rzecz! W muzykalnej *par excellence* Warszawie, niema komu skomponować „balady,” na którą konkurs i nagrodę wyznaczyła „Lutnia.” Z nadesłanych utworów żaden nie wart był nawet odznaczenia. Co to znaczy?... Chyba że to *zamały* temat dla naszych *wielkich* kompozytorów!

* **Mania samobójcza.** Wiosna tegoroczna dotąd w ciepło i zieleń nie jest wcale bogata, ale zato odznacza się bujnym wzrostem — manii samobójczej. Pominąwszy inne wypadki pojedyncze, w samym dniu 5 Maja powiesił się Michał Łopacki, właściciel domu na Krzywem Kole; jakaś służąca otruła się kwasem octowym, a czeladnik garbarski chciał się gwałtem utopić w Wiśle i bronił się zawzięcie niosącym mu ratunek. Wreszcie tego samego dnia, czy też zaraz nazajutrz, powiesił się jakiś stangret.

Samobójstwa te nietylko ilością, ale i jakością swoją zwracają na siebie uwagę. Dawniej, począwszy od Wertherów, tych ofiar przesubtylizowanej uczuciowości, nieznajdującej już dostatecznej przeciwwagi w religii, w wierze, samobójcy rekrutowali się prawie wyłącznie ze sfer inteligencyi, które, kierując się po fali życia, coraz częściej poczynały się obchodzić bez busoli religijnej. W warstwach niższych wogólności, a w szczególności u nas, samobójstwo należało do wypadków prawie niepraktykowanych, a jeżeli zdarzali się wyjątkowo samobójcy, to już byli to niechybnie kompletni waryaci. Dzisiaj inaczej, niestety! Dzisiaj na cztery samobójstwa, równocześnie dokonane w Warszawie, jedno spełnia dziewczyna służąca, drugie czeladnik garbarski, trzecie stangret, a czwarte właściciel jakiegoś lichego domku na Krzywem Kole!...

Smutny zaprawdę ztąd wniosek. Pokazuje się, że warstwy naszej ludności, które dotąd moralnie trzymały się krzepko i jędrnie, dzięki głębokiej wierze i swemu religijnemu usposobieniu, dziś straciły tę podporę, nie zyskawszy nawet tego pomocniczego balastu, jakim na łodzi życia, obok religii, jest wyższa oświata...

* **Ulepszony spadochron** Laury nieboszczyka Leroux, który krótki swój zawód głośnego aeronauty tragicznym zapieczętował zgonem, nie pozwalały spać panu Dzikowskiemu, b. zecerowi drukarni „Kuryera porannego.” Porzucił swój zawód, nabył balon i spadochron po Leroux, sprawił sobie wielkiego mongolfiera i odbywał na prowincyi próby z ulepszonym przez siebie spadochronem. To ulepszenie odnosi się nie tyle do samego spadochronu, co do punktu jego uczepiania. Leroux czepiał go zboku, pan Dzikowski zawiesza go w środku i obmyślił podobno sposób łatwiejszego odczepiania tego przyrządu.

W tych dniach odbył pan Dzikowski ostatnią próbę na łące pod osadą Wyszkowem, nad Bugiem, w obecności całej miejscowej inteligencyi, ba! i całej ludności. Próba wypadła nader pomyślnie, domorosłego aeronautę zasypano oklaskami i spisano protokół, ku unieśmiertelnieniu tego wiekopomnego zdarzenia.

Obecnie pan Dzikowski zamyśla popisywać się w Warszawie, wyruszając z pola Mokotowskiego. Życzymy wszelkiego w tej karkołomnej imprezie powodzenia, ale zwracamy jego uwagę, że nieboszczyk Leroux także nader szczęśliwie zjeżdżał z wyżyn empirejskich na swoim spadochronie dopóty — dopóki się nie zabił...

* **O emigracyi polskiej,** począwszy od XVI i XVII wieku aż do naszych czasów, obszerny i starannie opracowany artykuł pióra p. S. Fudakowskiego pomieściła paryzka „Reforma sociale” w pierwszym swoim majowym zeszycie.

* **Chwalebny przykład solidarności.** Z pisanego do redakcyi „Wieku” listu pana T. Pawłowskiego, kupca, właściciela sklepu na rogu ulic Chmielnej i Brackiej, pogorzałego przed paru tygodniami, przytaczamy ustęp taki:

„Współczucie ogółu, okazywane mi na każdym kroku, i gotowość pp. kupców udzielenia mi kredytów, nie pozwolą mi materyalnie zginąć i dadzą możność pracy i oddania ludziom ich należności. Wobec tego wszelkiej ofiarowanej sobie pomocy przyjąć nie mogę, a nadesłane mi w pierwszej chwili składki z inicyatywy hr. Grabowskiego przeznaczyłem na pogrzeb ofiar nieszczęśliwego wypadku.”

List ten zaszczyt przynosi panom kupcom, którzy z naśladowania godną gotowością podali rękę pomocy nawiedzonemu nieszczęściem koledze, ale dobrze rekomenduje i autora listu, który sobie takie ogólne współczucie zaskarbić umiał.

Pokazuje się, że, bądźcobądź, słusznie powiedział poeta:

„Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie!”

* **Sic transit gloria mundi!..** Ostatni potomek głośnego niegdyś bogactwem, mecenasostwem sztuk i zbrodniami rodu włoskich książąt Borgia, wnuk księcia Alberta-Kaliksta Borgii, zmarł w tych dniach w Padwie, jako retuszer w jednym z tamtejszych zakładów fotograficznych.

* Bawi obecnie w Warszawie p. Ludwik Kosiakiewicz, popierający tu proces osobiście, co wszystko razem nie stanowiłoby jeszcze przedmiotu godnego uwagi, gdyby nie to, że pan K. jest starcem od dwóch już blizko lat stuletnim. Pomimo tak sędziwego wieku, pan K. trzyma się krzepko, wygląda młodo (zaledwie na lat 70), procesem zajmuje się sam. Od lat 30 nie jada mięsa, nie pija kawy ani herbaty, spożywa tylko jaja, pokarmy roślinne, popija to węgrzynem, a przez cały Boży rok corano zlewa się zimną wodą.

G. Cz.

☞ **Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się datek z drzeworytami.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Мая 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 19 (dokończenie).

N. 14—15. Dwie spódnice od sukien. Krój N. IX.

Rycina 14—15 przedstawia dwie suknie uszyte podług wymagań ostatniej mody, jedna do zapinania jak zwykle pod stanikiem, druga z oszytym brzegiem górnym do zapięcia na staniku. Fig. 54 daje wymiar spódnicy podszewkowej, odpowiedniej pod obie suknie, którą trzeba przymierzyć i dopasować podług figury. Zwierzchnie pokrycie może być z brytów prostych lub kliniastych; do r. 14 liczy ono 350 c. obwodu, zaś do r. 15, licząc na fałdy, wynosi 500 c. szerokości. Spódnica r. 14 ma w górze zaszewki zastosowane podług figury, z tyłu zaś zebrana w płaskie fałdy lub zmarszczona. Bardzo dogodne są kieszonki przysłonięte klapką, wszyte w odstępie 32 c. od środka przodu a 20 c. poniżej paska. Na r. 15 widzimy przybranie z pletni 9 c. szerokiej i z małych szmuklerskich guziczków.

N. 17—18. Sukienka z marszczonym stanikiem dla panienki lat 8—10. Krój N. XVIII.

Uszyta z gładkiego kaszmiru i przybrana 2 c. szeroką aksamitką lub z szewjotu w kratę, składa się z gładkiej spódniczki i krótkiego stanika zapinanego z tyłu. Fig. 99—102 dają formę stanika; podszewkę krająć podług linii kroju, wierzch zaś podług cienkiej prostej linii i u góry przemarszczyć u dołu zfałdować i podług znaczków dopasować na podszewce. Rękawy u dołu są dwa razy przemarszczone a odstęp ułożony w fałdki, co tworzy mankiet 9 c. wysoki. Spódniczka 58 c. długa, 300 c. szeroka, zmarszczona jest na podszewkowej 54 c. długiej, 156 szerokiej.

N. 19. Płaszczyk z pelerynką marszczoną. Krój i przód N. XV.

Kraje się zwykłą formą paletotową, której wymiar (podług formy danej pod N. II) wskazuje fig. 87, z pelerynką dopasowaną podług fig. 88. Po zeszyciu ramion, pelerynkę przymarszcza się wielokrotnie wkształcie okrągłego karczka, podług linii cienkiej na fig. 88a. Pletnia stopniowej szerokości służy do oszycia.

N. 20. Paletot z pelerynką. Krój i przód N. XVI.

Materyał wełniany w dużą kratę nie wymaga żadnego przybrania prócz rzędów stębnówki około brzegów. Fig. 90 daje wymiar kroju; plecy środkiem nie są złączone szwem jak zwykle, lecz podwinięte pod spód i ściśle przy sobie przystębnowane do kawałka 4 c. szerokiego; pasek wpuszczany w szwy boczne zapięty z tyłu na guzik. Górny brzeg pelerynki (fig. 91) wpuszczonej w wykrój szyi od 9 do 10, przymarszcza się wzdłuż linii cienkiej od 5 do 6 i od 7 do 8. Wysoki kołnierz wywinięty podług linii kropkowanej.

N. 23 i 36. Płaszczyk z wyszyciem sznureczkowem. Krój N. III.

Na ryc. 23 w N. 18 daliśmy próbkę wyszycia na płaszczyku, popług której dobrać można grubość sznureczków czarnych do granatowego sukna; fig. 22—24 na arkuszu dają całość deseniu. Forma pleców i peleryny dana dla braku miejsca w dwóch częściach na fig. 19 A i B, które łatwo zestawić podług zmniejszonego formatu. Materyał wystający środkiem pleców złożony jest w fałdy do spodu; część pelerynowa składa się w głęboką fałdę, pasując g do g i przyszywa podług linii cienkiej pod przybraniem, od b do g do pleców, od c do do d do przodów. Po zeszyciu ramion od a do b, zaokrąglona część od b—c przymarszcza się i zeszywa z ramieniem, zajmując przytem fałdę złożoną poprzecznie (pasując h do h). Między peleryną a przodami pozostawiony otwór od d do krzyżyka, a od krzyżyka do dołu wzdłuż linii cienkiej peleryna przyszywa się niewidocznie do przodów. Kropka naznaczona z tyłu i na przodzie oznacza przyszycie taśmy do wiązania w pasie. Przyozdobienie pasmanteryą wskazują r. 23 i 36, tudzież ryc. 23 w N. 18.

N. 24. Płaszczyk z fałdowanym karczkiem. Krój i przód N. VIII.

Szeroki karczek przykrojony z materyału i podszewki podług fig. 51, łączy się od gwiazdki do dwukropka podług linii cienkiej z górnym brzegiem szerokiego prostego płaszczyka od 1 do 117 przymarszczonym od 117 do 136 złożonym w wielką fałdę a do 190 w dwie kontrafałdy. Dla nadania wcięcia w pasie zebrane są fałdy oznaczone na fig. 52, podszyte paskiem 5 c. szerokim, którego końce przewleczone przez przecięcia zapinają się z przodu. Przecięcia do wyjmowania rąk przykryte są patkami (patrz podwójne linijki na fig. 52). Model z ciemno-stalowego sukna, miał karczek przykryty trzema falbankami oszytemi złotą pletnią, układanemi w kontrafałdki po 2 c. szerokie; dwie niższe falbanki po 9 c. górna 12 c. szeroka, środkiem przefałdowana zachodzi na kołnierzyk stojący (fig. 55.

N. 25. Paletot z odcinaną baskiną. Krój i deseń N. XIII.

Podług fig. 72 przykrojona baskina, zaszyta od gwiazdki do dwukropka łączy się z krótkiemi przodami i boczkami od i do k; plecy fig. 73 krajane są w jednym ciągu z baskiną, dopełnioną kawałkiem 35 c. szerokim, złożonym w fałdy. Przybranie płaszczyka stanowi ozdobne wyszycie ze sznureczka złotego i czarnego jedwabnego, przedstawione w części na r. 24 w N. 18. Brzegiem przodów wyszycie dane równo jako szlak, na kołnierzu, klapach i mankietach rozszerza się w fantazyjny deseń w zygzaki, podług fig. 78—79. Podszewkę paletota zapiętego na kryte haftki stanowi mieniona jedwabna materya.



N. 1. Suknia z bluzką i paskiem gorsecikowym Patrz ryc. 28, 32 i 33. Krój N. I.

N.—3. Ub anie spac rowe z długim paletocikiem.

N. 27 i 38. Okrycie pelerynowe. Krój N. III.

Granatowy wełniany materyał w grube prążki, podszewkowany czarną materyą i przybrany czarną wstążką 7 c. szeroką. Część pelerynowa (fig. 20) łączy się razem z plecami; po zszyciu szwu ramienia od a—b, zakłada się dużą fałdę, pasując n do n, poczem od p do u wzdłuż linii cienkiej od ramienia do dołu przyszywa się pelerynę do przodów i pleców. Od b do e przyszywa się przymarszczone zaokrąglenie, a od e do f nakoniec gładki brzeg górny przyszywa do przodów, podług linii cienkiej na fig. 18. Przednie brzegi pelerynowe puszczone wolno. Kołnierz składa się z podwójnie wziętego kawałka 17 c. szerokiego, 80 długiego, zebranego z tyłu w potrójną kontrafałdę, z przodu odwiniętego nakształt wykładanego kołnierza. Przybranie z wstążki widoczne na r. 27 i 38.

N. 28. Paletot z krótką pelerynką. Krój i plecy N. II.

Łatwy krój paletota z wolnemi przodami nie wymaga szczegółowego opisu, dodamy tylko, że plecy przymarszczone do figury w pasie mają gładką podszewkę przykrojoną podług fig. 11. Pelerynka wykończa się oddzielnie i może być dadana lub odrzucona; model z jasnej wełny w prążki miał wysoki kołnierz podszyty brązowym aksamitem i wielkie guziki rogowe.

N. 29—30. Paletot z ranwersami i kapelusz okrągły. Krój i deseń N. V.

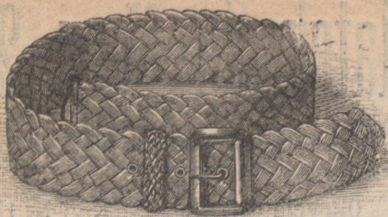
Uszyty z piaskowego materyału na brązowej jedwabnej podszewce, ma przody odwinięte w ranwersy, przybrane w jednym ciągu z kołnierzem wykładanym szlakiem ze złotej pletni $2^1/_2$ c. szerokiej, naszytej perełkami stalowemi, złotemi i kamieniami ponsowemi. Kapelusz z marszczonego czarnego tiulu przybrany girlandą róż i aksamitką czarną.

N. 35. Paletocik z patkami kieszeniowemi. Krój N. XII.

Forma paletocika mało się różni od formy do ryc. 37, dajemy więc tylko w naturalnej wielkości przód i kołnierz wykładany a trochę krótsze boczki i plecy w maleńkim formacie. Pierwsza część przodów przy której jest patka kieszeniowa zachodzi od dwukropka przy gwiazdce i punkcie na drugą część (fig. 66 i 67); brzegi przystębnowane otoczone wązkim złotym sutaszem. Model był z niebieskawo popielatego sukna.

N. 39. Płaszczyk z kapturkiem. Krój N. X.

Część pelerynowa wraz z plecami i kapturkiem (fig. 57) z powodu braku miejsca na arkuszu dana jest w dwóch połowach A i B, ale podług małego formatu fig. 55a—57a łatwo będzie formę skleić w jedną całość i wykrająć z materyału w jednym ciągu. Po zeszyciu przodów i boczków z drugiemi boczkami, trzeba takowe w całej długości przyszyć do pleców i tylnego bryta, składając D do D i dając szew podług linii cienkiej. Obie połowy kapturka łączy się szwem na środku od L do dołu i od F do H; następnie zszywa się ze sobą plecy od F do G i górny brzeg tylnego bryta fałduje od G do G. Górny brzeg kapturka składa się D do D i L do L przyczem zbierają się fałdy oznaczone na formie, w środku po dwie zwrócone do siebie z boków w kontrafałdę. Z przodu brzegi peleryny podłożone są N do N i opatrzone przecięciem do wkładania ręki, dalej założone w fałdę E do E i krzyżykiem do krzyżyka. Po zszyciu ramion zaokrąglenie przymarszcza się a górny róg peleryny przyszywa zwierzchu przodów podług linii cienkiej od J do K, a od K do E łączy z ramieniem.



N. 4. Pasek skórzany pleciony.

Dolne rogi są niewidocznie przyczepione do płaszczyka. Model z grubego szewjotu miał kołnierz i pasek naszyty pasmanteryą.

N. 40—42. Kapelusz, parasolik składany i pelerynka. Krój i plecy N. XIV.

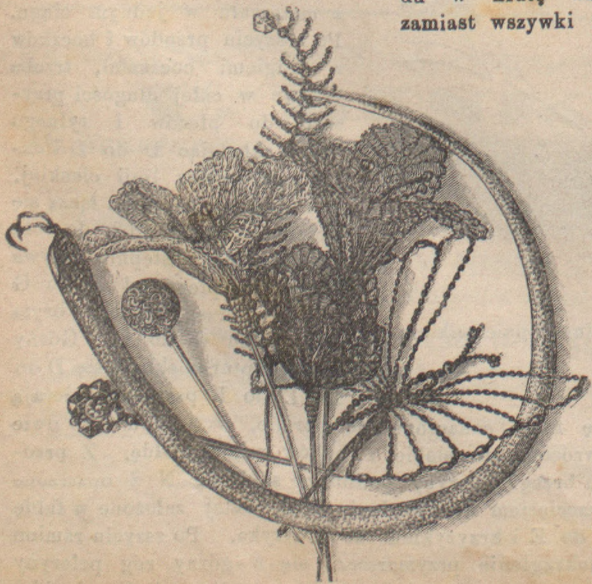
Pelerynka, którą można uszyć z tego co suknia materyału, na modelu była z piaskowego sukna, na tegoż koloru jedwabnej podszewce, ozdobiona haftem maszynowym (fig. 85—86) aksamitnym ciemniejszym i frendzelką z kulek. Przednie i tylna część karczka (fig. 82—83 zeszyte od v do w, łączą się od x do gwiazdki z pelerynką przymarszczoną między y i z. Dwu kropek i krzyżyk oznaczają przyszycie kołnierzyka fig. 84. Kapelusz z cieniutkiej słomki przybrany wstążką. Parasolik składany szczególnie praktyczny do powozu, ma w lasce umieszczoną sprężynkę, która porusza się za naciśnięciem. Pokrycie z kolorowej kiprowanej materyi teryi liczy 28 c., parasolik cały 72 c. długości; pręciki od spodu zakryte są białą jedwabną wstążką i gazą haftowaną podług r. 20 w N. 18.

N. 43 — 46. Wachlarz wiosenny okrągły, zdobny fantazyjnym kwiatem.

Dla przybrania okrągłych wachlarzy modne są wielkie kwiaty jedwabne, które można własnoręcznie przygotować. Używa się na nie marseliny w delikatnych odcieniach żółtym, różowym, lila i t. p., kielichy kwiatów są z oliwkowego pluszu; podług fig. 113 wykrawa się dwa koła i wycina mniejsze w cztery, większe w ośm listków. Liście kwiatowe wyciąć podług fig. 114—115, pojedyńczo lub w większych kawałkach stopniowej wielkości i fryzując na takowe materyą; w tym celu trzeba każdy kawałek skręcić na grubym drucie stalowym, wałkując mocno w palcach, podług r. 45. Przyszywanie listków do kielicha wskazuje ryc. 46, zaczynając od największych do mniejszych, środeczek dodać jak do zwykłych kwiatów. Na r. 43 widzimy wachlarz okrągły z czarnej koronki, ozdobiony kolorowym kwiatem 18 c. średnicy.



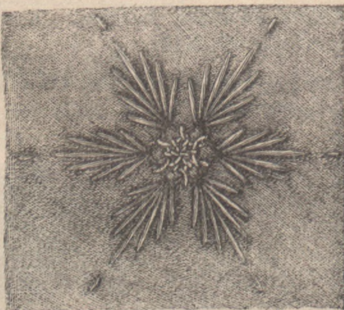
N. 8. Woreczek z wyszyciem i frendzlą. Patrz ryc. 9—10.



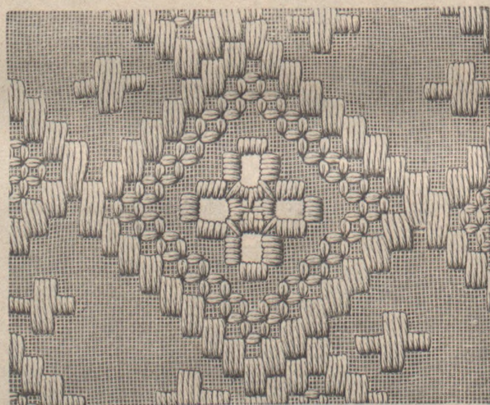
N. 11—18. Ozdoby do kapeluszy.



N. 7. Wszywka szydełkowa lub koronka



N. 5. Rzucik do ryc. 47.



N. 6. Haft węgierski (Kalotaszegi-Varrottas) do ryc. 45.

Opis do N-ru 20.

N. 1, 28, 32 i 33. Suknia z bluzką i paskiem gorsecikowym. Krój N. I.

Stanowi ubranie domowe lub podróżne i w takim razie dopełnia się kaftanikiem jaki opisujemy przy r. 34. Rycina 1 przedstawia bluzkę z białej materyi surah, naszytą z przodu w kratę wszywką koronkową; zamiast wszywki można dać wyszycie podług ryc. 21—22 i 39—40. Fig. 1 — 3 dają formę bluzki uszytej bez podszewki; przody (fig. 1) są pod szyją przymarszczone od gwiazdki do potrzebnej szerokości, plecy zaś zaszyte środkiem w drobne zakładki podług linii cienkiej. Na wcięciu stanu do krzyżyka do dwukropka przody przemarszcza się trzy razy na 5 c. szeroko, pod całą bluzkę podług linii



N. 9. Część kółka do r. 8.

prostej podszywa się listewkę do marszczenia. Rękawy u dołu zaszyte są w zakładki, podobnie jak zakłada środkowa, ozdobione wyszyciem z kolorowego jedwabiu. Wykrój szyi i rękawy ogarnirowane riuszą oszytą koronką, układaną w poczwórne kontrafałdy i przyszytą torsadką złotą (patrz ryc. 12 w N. 21). Spódnica podszewkowa liczy 200 c. szerokości, zwierzchnią krajać podług fig. 4; dłuższy skośny brzeg bryta *a* wypada przy 72 na środek przodu dolny brzeg wraz z prostym brzegiem od gwiazdki do dwukropka jako też zaokrąglona część 150 c. szeroka, stanowią dolny brzeg sukni. Prosta część górnego brzega spada gładko wzdłuż tylnego środka, a podcięte zaokrąglenie po złożeniu kilku oznaczonych fałdów, stanowi obwód w pasie. Nad cyfrą 50 kilka fałd poprzecznych podpina suknię w górę, przyczem aby spódnica podszewkowa nie była widoczną dodaje się klin *b* tylko od gwiazdki do dwukropka złączony z suknią, zresztą przyszyty na spódnicy. Guziki przyszyte podług znaków przytrzymują suknię z boku do podszewki, aby nie wsuwała się pod fałdy (patrz ryc. 33). Bryt *c* stanowiący lewą połowę przodu, opatrzony w górze zaszewkami ażeby leżał zupełnie gładko, spada bez żadnej fałdy na spódnicy. Połączenie brytów środkiem przodu wskazuje r. 1—trzeba brzegi podłożyć na 2 c. szeroko i przystębnować na prostym kawałku materyału 6 c. szerokim. Litery *a* i *b* na fig. 5 oznaczają prawą i lewą część paska gorsecikowego, krajanego skośnie bez podszewki, przedstawionego dokładnie na r. 32; środkiem paska podszyty jest fiszbin 14 c. długi; zapięcie paska na haftki wskazuje rycina, dłuższy koniec przewleka się pod patką przyszytą od kropki do krzyżyka, po zfałdowaniu paska do 3 c.

N. 2—3. Ubranie spacerowe z długim paletocikiem.

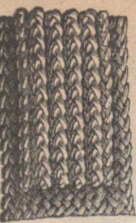
Jasno popielata kamizelka i mankiety z okrągłemi szmuklerskiemi guziczkami, tudzież srebrna pletnia $1\frac{1}{2}$ c. szeroka, stanowią gustowne i efektowne przyozdobienie sukni z grana-



N. 10. Grelotki szydełkowe do ryc. 8.



N. 19. Szlak. Ścieg płaski i kratka ażurowa.


N. 20. Pletnia do ryc. 29.


N. 21. Wyszycie do sukien.

N. 25. Suknia z fałdowanym stanikiem Patrz ryc. 42. Krój N. XII.



N. 23—24. Sukieneczka dla dziecka lat 1—2. Patrz ryc. 22. Krój N. VII.

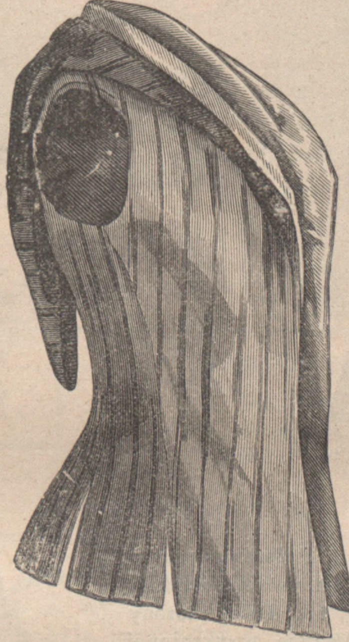

N. 26. Płaszczyk bluzkowy dla dziewczynki lat 5—7. Krój N. III.


N. 22. Wyszycie do sukien.


N. 28. Suknia z kaftanikiem. Patrz ryc. 1 — N. 29. Plecy do ryc. 22 w N. 21. Patrz ryc. 34. — N. 30. Fartuszek. Patrz ryc. 31.


N. 33. Spódnica i pasek gorsecikowy do ryc. 1 i 28.

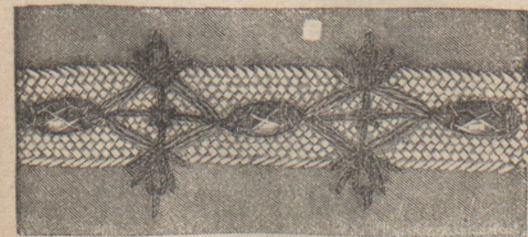

N. 27. Kołnierz chusteczkowy. Krój N. XVII.


N. 34. Kaftanik bez rękawów do ryc. 29.

towo-czarnego szewjotu. Przody paletocika odwinięte są w ranwersy i razem z otwartym kołnierzem podszyte pletnią srebrną; na ranwersach naszyty reps jedwabny, na podobieństwo naszycia na tużurkach męzkich. Baskina złożona z tyłu w głębokie fałdy jest 26 c. długa.

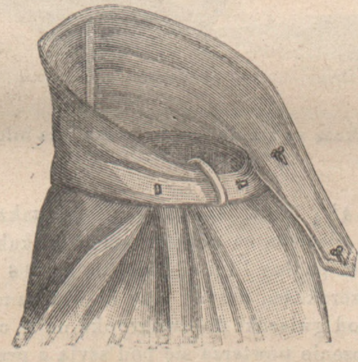
N. 4. Pasek skórzany pleciony.

Przy bluzkach bardzo rozpowszechnionych obecnie, paski stały się niezbędne; r. 4 przedstawia model, który można własnoręcznie upleść ze skóry naturalnego koloru. Ośm rzemyków po 1 c. szerokich splata się w płaski warkocz 72 c. długi, końce z jednej strony zastębnowane mocno przy sprzączce, z drugiej założone w ząb. Klamra stalowa ma sztyfcik przełożony przez przebite i okute kółko.


N. 37. Szlak z pletni wyszywanej do ozdoby sukien.


N. 38. Szlak ze złotej pletni wyszywanej do ozdoby sukien.


N. 31. Fartuszek ze szlakiem. Patrz ryc. 30.


N. 32. Pasek gorsecikowy do ryciny 1 i 33.

N. 11 — 18. Ozdoby do kapeluszy.

Oprócz dżetu i pereł z których robią kwiaty, gałązki, motyle i agrafki bardzo modne w tym roku złoto, srebro i stal. Czarne płaskie szpilki ozdabiają złotem i naśladowaniem drogich kamieni, gałki okrągłe wyrabiają ażurowo. Nowość stanowią koronkowe kwiaty czarne i złote, których ażurowe delikatne listki utrzymują się na drucikach; środeczki są z perełek i kolorowych szkiełek. Najświeższą nowość przedstawia „wąż Kleopatry“ który wije się między kwiatami i bufami tiulu, wykonany z połyskującego metalu, lub z massy pokrytej błyszczącym proszkiem.

N. 19. Szlak. Ścieg płaski i kratka ażurowa.

Na tle grubem lub kanwowem wykonywa się podług obliczonych nitek, na cienkiem trzeba podkładać kanwę pod wyszycie i wysiepać ją następnie. Kwadraciki pasa środkowego prosto wyszywane, zajmują wzdłuż i wszerz po ośm nitek; promienie w półgwiazdach od dwóch do 11 nitek, maleńkie gwiazdeczki wyszyte na sześciu nitkach w kwadrat. Na szeroki pas kratki trzeba wyciągnąć 24 nitki; wiązanie i wyszycie pajączków z kolorowej bawełny przedstawione na ryc. 19.


N. 39. Szlaczek wyszyty jedwabiem, do sukien.


N. 40. Szlaczek wyszyty jedwabiem, do sukien.


N. 35. Plecy do ryc. 23 w N. 21. N. 36. Suknia ze stanikiem wyciętym w patki. Krój N. X.

N. 22—24. Sukieneczka dla dziecka lat 1—2. Krój N. VII.

Odznacza się dogodną formą zarówno odpowiednią do letnich do prania, jak i do wełnianych materyałów, te ostatnie wymagają podszewki. Ryc. 23 przedstawia z przodu sukienkę z letniego materyału wyszytą podług ryciny 22 lub 40, zaś na ryc. 24 widzimy sukienkę wełnianą z kołnierzem i mankietem z haftu ażurowego. Plecy krają się w jednym ciągu podług fig. 29; zapięcie stanika dane z przodu pod zakładką $3\frac{1}{2}$ cent. szeroką; fałdy oznaczone kropkami i krzyżykami załamane są pod szyją. Rękawki fig. 30 także założone w fałdy zwrócone do siebie, zakończone są mankietkiem. Spódniczka marszczona 31 cent. długa, 160 cent. szeroka, zapina się z przodu; pasek z wstążki repsowej $5\frac{1}{2}$ cent. szerokiej przytrzymanej z boków patkami 2 c. szerokiemi.

N. 25 i 42. Suknia z fałdowanym stanikiem, dla panienki lat 11—13. Krój N. XII.

Spódnicę podszewkową kraje się podług wymiaru wskazanego na fig. 60a, pokrywa od dołu materyałem 15 c. szeroko i podszywa tylny bryt listewką do ściągania; zwierzchnia spódnica przemarszczona kilkakrotnie u góry jest 290 c. szeroka. Stanik niewidocznie zapinany z tyłu ma podszewkę dopasowaną podług fig. 51, 53—55; materyał zwierzchni krajać podług fig. 52 i 56 a linie cienkie oznaczają przemarszczenie w kształcie karczka, zaś krzyżyki i kropki złożenie fałd zwróconych



N. 41. Ubranie dla chłopca lat 12—14. Krój N. XIV.



N. 43. Suknia ze stanikiem do paska dla młodej panienki Krój N. II.



N. 42. Suknia z fałdowanym stanikiem dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 25. Krój N. XII.

do środka na przodzie i na plecach. Podszewka rękawa od dołu pokryta gładko materyałem, do linii cienkiej, w górze od *n* i *o* częścią bufiastą fig. 58. Pasek ułożony z wstążki 2 1/2 c. szerokiej, na podszewce przykrojonej podług fig. 60. Kokardy i opaski przy kołnierzu i rękawach podług ryc. 25 i 42.

N. 26. Płaszczyk bluzkowy dla dziewczynki lat 5—7. Krój N. III.

Może być uszyty z szewjotu lub sukna, alpagi lub bastu jedwabnego i przybrany garnirowaniem z wstążki



N. 45—46. Bluzka zdobna haftem węgierskim i kapelusz okrągły. Patrz ryc. 6 i fig. 37.

repsowej 4 1/2 cent. szerokiej, użytej także na pasek. Przody i plecy są na wcięciu stanu kilkakrotnie przemarszczone podług linii cienkiej na fig. 16 i 17, plecy do 15 c. szerokości, przody przy niewidocznem zapięciu na guziki od gwiazdki do dwukropka na 4 c. Podobne przemarszczenie powtarza się pod szyją z przodu; wykrój szyi otoczony riuszą z wstążki, z tyłu 4 c. z przodu aż do paska 2 c. szeroką. Rękaw fig. 18 jest między liniami cienkiemi u dołu zmarszczony do 24 c. obwodu.

N. 27. Kołnierz chusteczkowy. Krój N. XVII.

Litera *a* na fig. 79 daje wymiar chusteczki, *b* kołnierza; obie części przykrojone są z tiulu czarnego, wyszytego w bogaty deseń perełkami. Kołnierz podszyty łososiowym aksamitem wymaga podłożenia ze sztywnego muślinu i oszyty jest drucikiem. Brzegi chusteczki otacza falbana z gazy łososiowego koloru 9 c. szeroka, 530 c. długa.

N. 29 i 34. Suknia princesse z gorsecikowem przybraniem i kaftanikiem bez rękawów. Patrz ryc. 22 w N. 21. Krój N. XI.

Forma princesse znowu bardzo się rozpowszechnia ale kraje się tylko z materyału, podszewka zaś kraje się oddzielnie na stanik i spódnicę 200 c. szeroką. Podszewka stanika fig. 38 i 41—42 ma boczek przedni krajany podług fig. 40 po C i gwiazdkę; materyał zwierzchni krajany formą princesse podług fig. 40 i 43 (patrz 40a—43a), ma przody krajane krótko i zapinane z lewego boku. Cienka linja na fig. 38 oznacza formę karczka i gorsecika połączonych z sobą bufką zmarszczoną z gładkiego materyału ze skośnego kawałka 110 c. długiego, jak to wskazuje r. 22 w N. 21. Przedni bryt sukni (fig. 39) łączy się z brzegów z boczkami od B do dołu; kilka fałd górnych składają się podług znaczków. Tylny bryt idący od pleców nie przecięty ch środkiem, złożonych w potrójną fałdę zwróconą do spodu. Rycina 22 w N. 21 przedstawia suknię z angielskiego materyału piaskowego gładkiego i deseniowego, przybraną pletnią wełnianą (patrz ryc. 20), zaś ryc. 29 przedstawia kostium podróżny lub spacerowy, dopełniony kaftanikiem bez rękawów jaki widzimy na ryc. 34 z boku, a na fig. 50c z lewej strony. Plecy są także nieprzecinane i wraz z boczkami podszyte materyą, przody i kapturek podszyte gładkim materyałem. Na patki baskiny wszystkie szwy są niezeszyte od Q, S i U do dołu. Na ramionach plecy i tylne boczki od W przez T do V łączą się z przodami, w których małe zaszewki dane tylko w materyale, następnie obie połowy kapturka od X do Y łączą się z plecami szwem odwracanym.

N. 30—31. Fartuszek ze szlakiem.

Naśladowany jest podług fartuszków noszonych przez szwedzkie wieśniaczki i uszyty z materyału wełnianego w rzucik kolorowy. Potrzeba bryta prostego 63 c. szerokiego, 88 c. długiego u góry zmarszczonego do 25 c. szerokości i objętego szlakiem 6 c. szerokim stanowiącym zarazem pas 63 c. długi do założenia na szyję. W pasie przewiązuje się sznur wełniany przyciskający fartuszek (patrz r. 30). Szlak wyszywa się na gładkim materyale, ściegiem krzyżykowym kolorową bawełną lub kordonkiem.

(Dokończenie nastąpi).



N. 47. Staniczek gorsecikowy z bluzką haftowaną. Patrz ryc. 5. Krój N. XIII.